

II miejsce

„Cela nr 20”

Julianna ZUBEK

Mam 16 lat, jestem uczennicą trzeciej klasy liceum o profilu biologiczno-chemicznym. Uczę się w 158 LO im. Księżnej Izabeli Czartoryskiej na Ursynowie. Choć chętnie i dużo czytam, to z twórczością Tadeusza Różewicza bliżej spotkałam się dopiero przy okazji konkursu. Nie żałuję tego spotkania. Zachęcona jego wierszami próbowałam lepiej poznać sposób myślenia Tadeusza Różewicza i jego widzenie świata. W jego twórczości najciekawsze wydają mi się uwagi i spostrzeżenia dotyczące ludzkiej natury. W życiu przeciętnego, szarego człowieka Tadeusz Różewicz potrafił dostrzec uniwersalne prawdy i reguły rządzące światem. Zwykła codzienność, małe i większe problemy, rozterki bohaterów, przepuszczone przez filtr wrażliwości autora, nabierają ponadczasowego wymiaru. Pisząc swoją pracę próbowałam spojrzeć na świat jego oczami – zobaczyć w ludziach i otaczającej mnie rzeczywistości to, co on by zobaczył, gdyby tylko miał możliwość żyć wspólnie. Mam nadzieję, że spotkanie z twórczością Tadeusza Różewicza sprawiło, że z większą wrażliwością patrzę na świat i ludzi wokół mnie. W końcu każdy z nich mógłby być bohaterem jednego z jego wierszy.

CELA NR 20

I

„Mój budzik jest jak traktor” pomyślałem, gdy to niewdzięczne urządzenie rozbrzmiało w pokoju, o zdecydowanie zbyt wczesnej godzinie. Zawsze będzie za wcześnie. Uciszyłem go mocnym uderzeniem (Chińczyk, od którego go kupiłem, byłby zdruzgotany) i wbiłem wzrok w sufit nad sobą.

Dziwne rzeczy mi się śniły.

Stałem na cmentarzu i grzebałem jednego ze znajomych (dlaczego w ogóle ja?), ale nim skończyłem i zdążyłem odpocząć, podszedł do mnie mój przyjaciel i prosił, żebym pogrzebał jeszcze kogoś. Byłem w połowie roboty, ponieważ oczywiście nie umiałem odmawiać, kiedy kolejna osoba podeszła z tą samą prośbą i coraz więcej ich było, a ja chciałem już tylko wyjść stamtąd, do ludzi wrócić, tylko mi nie pozwalali! Jakbym był częścią tego świata na cmentarzu.

Skrzypienie podłogi przed moimi drzwiami (subtelne jak słoń w składzie porcelany) było sygnałem, że mogę bezpiecznie wyjść z własnego pokoju. To mój współlokator przekradał się jak co wieczór... *Pani Konstancja...* Uśmiechnąłem się lekko. *Choć oczywiście nie myślałem nic złego.* Ale wolę ich nie zawstydząć, więc każdego ranka czekam na ten szelest oznajmiający mijanie pokoi. Dopiero wtedy wychodzę, by spędzić dzień najleniwiej jak potrafię, przygotowując się na wieczorną pracę.

Droga do niej to moja jedyna aktywność, więc staram się czerpać z niej jak najwięcej. Czasem zagada do mnie jakaś pani w autobusie, czasem nawet odpowiem. Lubię przy tym obserwować innych i zastanawiać się, jakie tajemnice mogliby mi zdradzić ludzie.

Trasa jest długa i pełna śmiertelnych pułapek w postaci nieoznakowanych skrzyżowań i zaułków, ale warto przejść ten labirynt. *Trzeba minąć ulicę Bonifacego (papieża?), potem Kaukaską, żeby dostać się do tego magicznego miejsca (wszystkie miejsca w tym kraju są magiczne).*

„Cela nr 20” - tak nazywa się bar, w którym pracuje i skąd czerpie inspirację. Należy do starego mistrza Ryszarda i, niestety, nie jest znanym miejscem. W zasadzie jest... skrajnie nieznany. Część sąsiadów upiera się, że nie istnieje, a nazwiska właściciela nie słyszeli. Pamiętam jak dziś, kiedy ja i Piotr, który jest drugim barmanem i moim bliskim przyjacielem, ruszyliśmy tam wspólnie w odpowiedzi na zawily (i nieco zbyt poetycki) anons w gazecie, mówiący o poszukiwaniu pracowników do rozwijającego się, „z pewnością dobrze prosperującego” interesu. Błądziliśmy bardzo długo, bezowocnie szukając kogokolwiek, kto na dźwięk nazwiska „Ryszard Przybylski” nie zatrzasnąłby nam drzwi przed nosem. Gdy w końcu trafiliśmy, sami ledwo utrzymaliśmy uprzejmy wyraz twarzy. Nieco chaotyczny staruszek z trąbką przy uchu oprowadził nas po zniszczonym pomieszczeniu, które chciał zamienić na klub nocny pod wiele mówiącą nazwą „Statek widmo” (która jednak nie przetrwała). Nie byliśmy

przekonani do pracy w barze i w zasadzie do końca do dziś nie wiem jakim cudem niecały tydzień później montowałem póki na ścianach, a Piotr zlepił je - *jak plaster miodu* - książkami. W tamtym momencie sam siebie skazałem na dożywocie tutaj, ale... okazało się być wcale niezłe. Słucham dziwnych rozmów Piotra i Ryszarda, których tematyka przechodzi od rozpraw filozoficznych przez krótkie wstawki o miłosnych podbojach młodszego do kłótni, dotyczącej ananasa na pizzy. Czasem coś z ich słów zostaje mi w myślach i wkręca się nieznośnie w głowę tak długo, aż nie zostanie z niej brutalnie wyszarpane i rzucone na papier. Jedno zdanie, czasem nawet słowo, potrafi dać początek całemu utworowi. Tak, zdarza mi się napisać całutki wiersz, pełne dwadzieścia wersów, tylko dla tego jednego wyrazu w środku, który był istotą pomysłu. Robię to oczywiście dla siebie, twórczość do szuflady... Jednak czasem postanawiam umilić sobie dzień paroma złośliwymi komentarzami i daję moje wiersze do przeczytania przyjaciółom. Deklamują (głównie Piotr) moje wycieczki ze śmiechem i próbują ustalić, którym dokładnie fragmentem rozmowy się inspirowałem. Nigdy im jednak nie mówię, z... egoizmu? Mam nieśmiałą nadzieję, że ktoś z większą niż moja odwagę może złożyć te niestaranne kartki w całość... tomik wyda... I wtedy inni będą musieli, czytając moją biografię, dowiedzieć się, co było moją inspiracją. Jakie nazwiska należy przypisać imionom, których używam. Jakie adresy do miejsc, które opisuje. Chociaż takie plany pozostają na razie w sferze marzeń, to chyba mi wolno, prawda?

II

- Naprawdę! – krzyczy Piotr do Ryszarda, a ja przewracam oczami zirytowany. – Nikt w całej kawiarni nie zareagował, a ta biedna dziewczyna zalewała się łzami. Tylko Jarek, znasz Jarka? – zapytał ze zmarszczonymi brwiami i był to jeden z rzadkich momentów, kiedy wykazał zainteresowanie swoim słuchaczem.

Rysiek swoim zwyczajem przyłożył trąbkę do ucha, zanim odpowiedział (co było raczej niespotykane – jakby chciał słyszeć jedynie swój głos, skoro nie trzymał jej tam, gdy inni mówili):

- Mogę znać. Jeśli chcesz.

- Och, świetnie. I Jarek... - kontynuował z zapalem przyjaciel, a my wymieniliśmy rozbawione spojrzenia.

Piotr z podziwu godnym zaangażowaniem skupił się na opowiadaniu, jakby hałas jaki wytwarzał, miał zrekompensować brak pracy.

- Jak tylko skończysz – szturchnąłem go delikatnie w ramię – to powycieraj proszę, te szklanki. Zaraz otwieramy.

- I oczywiście od razu przyjdą tłumy – przewrócił oczami. – Daj spokój, pogadaj lepiej z nami. Nic tylko...

- Pracuje? – przerwałem z uniesieniem brwi. Zapowietrzył się lekko, ale zabrał za zadanie.

Rysiek uśmiechnął się.

- Otwórzcie kiedy będziecie gotowi, ja będę... u siebie – opuścił trąbkę jak tylko skończył mówić i zniknął w części prywatnej.

Jeszcze podczas urządzania się tu wykorzystał nasz zapał do zbudowania sobie własnej twierdzy w pomieszczeniu obok, do której zaraz zabrał co lepsze książki. Przesiaduje tam zawsze, gdy pracujemy, a później zaprasza nas na lurowatą herbatę. Chwilami myślę, że specjalnie parzy tak słabą i patrzy na cierpienia uprzejmych ludzi, którzy nie chcą odmówić. Ale to miłe miejsce. Każdy z nas swego czasu wybrał sobie jeden fotel, przy czym niedopuszczalne było, żeby tworzyły jeden, estetyczny zestaw! Na każdym jest poduszka, lampeczka obok. Czasem siedzimy tam czytając, nie odzywając się ani słowem. I jest pięknie. Spokojnie.

III

„Cela” podzielona była na dwie części – bar i kawiarenkę. Ja obsługiwałem gości z baru, a Piotrek tych z kawiarni. Z początku nie rozumiałem czemu wolał taki podział, skoro ja stałem za ladą, a on musiał biegać z zamówieniami. Jednak minęło parę dni pracy i okazało się, że zgodnie z niepisaną umową wszystkie belkoczące nieskładne zdania masy ludzkie, jakie zostają najdłużej, ja właśnie muszę odeskortować do najbliższej taksówki.

Ale z drugiej strony, miałem dokładnie to czego chciałem. Trzy metry lady, sześć stołków, a na każdym lekko (do czasu) podpity człowiek, który chce mi opowiedzieć o swoim życiu. Takie osobniki zastępują poetom-amatorom opium, odkąd nałożono kary za posiadanie go. A szkoda, w nowożytności podobno sprawdzał się jako źródło weny twórczej znakomicie.

Byłem zaskoczony, kiedy chwilę po otwarciu, gdy klienci wpadają raczej do Piotrka na kawę niż do mnie, do lady podszedł młody człowiek i rozglądając się z niepokojem badał pomieszczenie.

- Dzień dobry – przywitałem się uśmiechnięty, choć on patrzył oceniająco na stół przed nim. – Nie powinno się złam... Ach tak. – Początkowo chciałem zażartować z jego przerażonej miny, ale w połowie mojego zdania ten wyciągnął delikatną chusteczkę i rozłożył dokładnie.

Było mi przykro, bo bardzo dbałem o wygląd tego miejsca i nie sądziłem, że ktokolwiek mógłby poczuć się obrzydzony.

- Czy mogę coś podać? – zapytałem z chłodem w głosie, przez co chłopak spojrział na mnie zdziwiony. Jakby nie wiedział, czym mnie uraził.

- Tak, proszę – zgodził się nieśmiało. Czekałem parę chwil na podanie zamówienia, ale ten zataczał kółka wzrokiem, byle tylko nie spojrzeć na mnie.

- Psst – wyszeptałem scenicznie – teraz twoja kwestia.

- Moja? – ostatni raz widziałem tak przerażone spojrzenie u kota uciekającego spod kół samochodu.

Pokiwałem głową poważnie.

- Teraz powinienesz mi powiedzieć, na co masz ochotę – nie wiem czemu przeszedłem na „ty”, ale czułbym się co najmniej dziwnie mówiąc „Pan” do kogoś jak on.

- Oj, nie wiem. Co teraz piją... prości ludzie?

Bez jaj... Wzięłem dwa głębokie oddechy dla uspokojenia, zanim nie zabrałem się za przygotowanie rumu z colą. Przy odrobinie szczęścia nie odleci zaraz po wypiciu go.

Wziął podejrzliwie szklanke przez serwetkę i umoczył język w płynie.

- W tym jest alkohol?! – wykrzyknął oburzony. Czyli jednak jest zdolny do wyrażenia mocniejszej ekspresji.

- Zgodnie z tradycją – odparłem, ale widocznie nie załapał. – Wiesz, tak się zdarza, że jak zamówisz coś do picia w barze, to będzie w tym alkohol – ostatnie słowo wyszeptałem niemal konspiracyjnie i rozejrzałem się, jakby szukając szpiega, który by doniósł na mnie mamie.

- Rozumiem – pokiwał głową wracając do swojej nieuważnej aury filozofa. – Mama mówiła coś takiego...

O, ale trafiłem. Postanowiłem pociągnąć temat, skoro alternatywa zakładała niezręczną ciszę i jeszcze nie zręczniejsze niepatrzenie na siebie.

- Zapytałeś ją o to? Co podają w barach?

- Nie – zawahał się. – Zapytałem, co robią prości ludzie.

- Jeszcze chwila i poczuję się urażony – zaśmiałem się tylko odrobinę sztucznie. – Jacy to „prości” ludzie?

- Nie wiem w zasadzie – czy ten chłopak mógłby być jeszcze bardziej rozlazły? – Dawno tu nie byłem.

Nie widziałem między tym związku, ale każdy temat jest dobry.

- Dawno wróciłeś?

- *Wiecznie powracam* – wyszeptał tragicznie. Coraz szybciej rosła mi ochota na skończenie za niego drinka, bo długo takiej gadki nie zniosę. – *Mama powiedziała, żebym zajął się swoimi Grekami... Albo coś skomponował.*

- Słuchaj się mamy – nie kryłem ironii, ale nareszcie usłyszałem konkrety. Komponować? Muzyk? Grecy? Filozof?

- Nie chce komponować – patrzył pusto w szklanke. – *Dlaczego jestem taki mądry? Odważny, jedyny ukrzyżowany?*

- A może jednak to tylko ja nie wiem, gdzie się zdobywa opium – mruknąłem do siebie i zająłem się wycieraniem idealnie czystego blatu, co nie przeszkodziło młodzianowi mówić niemalże do siebie. Najwyraźniej nie był zainteresowany moim odzewem.

- *Mężczyzna powinien być hodowany na żołnierza, kobieta na żonę żołnierza.* – Nie zgadzałem się, ale spojrzałem na niego badawczo, ciekaw dalszego ciągu.

Milczał jakiś czas. Zapewne myślał, ale nie chciałem wysuwać zbyt pochopnych wniosków.

- *Wie pan* – uśmiechnął się jakby tęsknie – *byłem w Genui. Mówili na mnie il Piccolo Santo.*

- Co robiłeś w Genui?

- *Jak każdy. Szukałem domu. Ale ładnie tam było. Risotto jadłem.* – Mówił urywkami zdań, rozszarpywał myśli na fragmenty i tylko wybranymi się ze mną dzielił. Sam nie wiem, czy tylko tyle pragnął przekazać, czy szukał sposobu na dodanie sobie dramatycznej tajemniczości. – *Mama mówi, że wy tu kartofle jecie. I kapustę kiszoną.*

- A ty byś wolał risotto, tak? – zapytałem współczująco, teraz już nie na żarty obrażony. - *Ale pewnie bez cebuli ani czosnku. Dieta jest istotą filozofii* – szydziłem pod nosem, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Tylko ostatnie słowo poruszyło go i po raz pierwszy spojrzał na mnie jak na kogoś, kogo być może nawet warto posłuchać.

- Pan... lubi filozofię?

Lubiłem. Ale nie chce o niej rozmawiać z kimś, kto... Nie skończyłem myśli prowokowanej złością. Potrzebowałem chwili na uspokojenie się, zanim doszło do mnie, że prócz braku skupienia i zbyt częstego przywoływania mamusi do rozmowy nie miałem chłopakowi nic do zarzucenia.

- Nawet lubię. Czy też czytujesz... - przerwał mi gwałtowny trzask drzwi i szybko zbliżające się do lady kroki.

- Wódki! – wychrypiał rozdygotany głos klienta. Nie był to najważniejszy moment na uśmiech, ale jego konkretność stanowiła niemalże kojącą przerwę od ciapowatości nedorobionego świętego przede mną.

Który, o czym warto wspomnieć wszystkim, których jak mnie ten typ człowieka irytuje, wpatrywał się dziecinnie przestraszony w mężczyznę koło siebie. Jestem gotów przysiąc, że odsunął się nawet odrobinę.

Należy mu jednak oddać, że nowo przybyły rzeczywiście stanowił osobliwy obrazek. Strój elegancki, ale niestaranny – krawat przekrzywiony, marynarka rozwiana. Buty brudne, jakby po drodze przechodził przez las pełen błota. Włosy szaleńczo rozczochrane.

- Czy wszystko w porządku? – spytałem stawiając przed nim kieliszek, który wypił za jednym zamachem i stuknął palcem w krawędź, od razu prosząc o kolejny.

- *Widziałem rzeczy* – wyszeptał. Pokiwałem natychmiast głową ze zrozumieniem i współczuciem, przy czym nie rozumiałem nic, a zamiast współczucia narastała we mnie ciekawość.

- Jakie rzeczy? – zapytałem. Zadaje dziś bardzo dużo pytań.

- *Ja... Nie mogę. Nie mogę już więcej pisać* – spojrzał na mnie prawie że przytomnie. Wychylił jeszcze dwa kieliszki, zanim dodał: - *Moje pisma są teraz jak słoma.*

Potrząsnął głową, usiłując uwolnić się od obrazów tych „rzeczy” i wstał ze stołka. Na odchodnym spojrzał łączywie na kieliszek chłopaczka obok.

- Ależ proszę – machnął ten ręką zapraszająco. Chwilę później usiłował powstrzymać wyraz zaskoczenia na twarzy (a walczył o to tak zaciekle, jakby hańbą było okazanie ludzkiego uczucia), kiedy rum z colą został wzgardzony nawet przez tak potrzebującego alkoholu człowieka jak nasz gość.

Frycek (bo tak nazwałem go sobie w głowie) wyraźnie chciał o coś zapytać, ale w końcu zrezygnował. Jak widać pytania, a więc niewiedza, są zaraz po zdumieniu kolejnym przejawem ludzkiej ułomności, której unikać koniecznie należy.

Ale to nieważne. Mężczyzna sprzed chwili jest dużo bardziej interesujący. Ciekawe, jakie to rzeczy zobaczył. „*Moje pisma są jak słoma*”... A więc zobaczył coś, co uświadomiło mu własne ułomności. Własną małość. *Może kobietę aniola, która rodzi dziecko Boga? Może Boga, Ojca i Matkę? Kapłana?*

Byłem zamyślony o sekundę za długo, ponieważ Frycek przede mną zgarnął z wymuszoną gracją swoją chusteczkę i założył płaszcz.

- Ile za drinka? – nieprzytomny głos nie zdołał ukryć dumy wywołanej tak filmową kwestią.

- Którego nawet nie wypileś? – zaśmiałem się. – Na nasz koszt, nie przejmuj się. Ale dlaczego już wychodzisz? Przerwano nam jak się zdaje rozmowę o filozofii.

- *Das Meer liegt bleich und glanzend da es kann nicht reden* – powiedział z patosem i wyszedł, potykając się o szalik tylko raz.

- Chyba bardziej chciał się pochwalić znajomością niemieckiego, niż ci odpowiedzieć – usłyszałem głos Piotra za sobą. Najwyraźniej cały czas podsłuchiwał i oczywiście świetnie się bawił.

- Jeszcze się wyuczy – odparłem, nie patrząc na niego. – Jak będzie się bardzo starał, to ludzie uwierzą, że naprawdę jest mądry i jeszcze za nim pójda.

- Może – zastanowił się. – Pewnie teraz będą luzy, pogadasz z nami?

- Później, na razie muszę... wiesz.

- Wiem – zaśmiał się złośliwie. – Tylko nam potem pokaż! Chcę koniecznie zobaczyć jaki wiersz stworzysz z niedorobionego filozofa i pijaka, który uświadomił sobie, jak działa ludzki wzrok.

Pokiwałem głową niecierpliwie i zaczekałem, aż odejdzie. Spod lady wyciągnąłem swój powycierany notes i rozłożyłem się na krzeselku w kącie.

Nie lubię osób jak Frycek. Mówią tak wiele, przy czym ani przez sekundę nie zastanawiają się nad tym, czy ich słowa mają znaczenie. *Za mojego dzieciństwa można było słowa przyłożyć do rany, podarować osobie kochanej. Teraz zostały zużyte, jak guma do żucia (co za prymitywne porównanie) i służy politykom do wybielania zębów. Leży owinięte w gazetę i pachnie trucizną.* Nie podoba mi się to. Słowa to nasza komunikacja. Co z nas zostanie, gdy zabierzemy im wartość?

Między nami, pierwszy utwór napisałem od ręki, zachowując w nim zarówno młodocianą dramaturgię Frycka jak i nieco poważniejsze myśli (taką mam przynajmniej nadzieję). Drugi długo wwiercał mi się w głowę, zanim wyskoczył z niej z zapalem, kiedy przeczytałem artykuł o Tomaszu z Akwinu. Uśredniłem jej brzmienie i słowa naszego gościa, a wynik ułożyłem w wersy. Efekty do oceny zostawiam pokoleniom.

III

Choć luzy rzeczywiście były, to ja stałem za barem przez pełne dwie godziny, w oczekiwaniu na mojego ulubionego gościa.

Przychodziła codziennie, od naprawdę wielu lat, ale zamawiane u nas Martini musiała podlewać w domu ambrozją, bo wyglądała niezmiennie młodo i pięknie.

Zazwyczaj prosiła o to samo, o dokładnie ten samej porze, ale dziś... Dziś nawet jej oczy były zupełnie inne. Spojrzałem zdumiony na zarumienioną dziewczynę w drzwiach, którą rozpoznałem jedynie po torebce. Charakterystycznej, klasycznej, eleganckiej. Jak ona.

Czekałem w milczeniu, aż zajęła miejsce i podałem jej kieliszek. Dopiero kiedy stanął centralnie przed nią, a ja odsunąłem się odrobine, rozpoczęła swój mały rytuał. Torebkę odłożyła po swojej lewej, oboje uszu przechyliła na jedną stronę. Powoli ściągnęła rękawiczki z cieniutkiej skóry, uwalniając po kolei każdy palec. Dopiero wtedy gdy leżały równo na sobie na ladzie, sięgnęła po kieliszek i rozpoczęła powolną degustację.

Jej oczy zdążyłem poznać na wylot i od wielu lat poświęcam im długie godziny myśli, a jednak dziś zaprawione były nutką czegoś nowego. *Zazwyczaj zasnutę cieniem, nieprzytomne. Teraz również obudzone i czujne. Wszystko było w tym spojrzeniu. Skryte półmrok i tajemnica.*

Dzisiaj wpadła spóźniona. O ile można ją oskarżać o spóźnienie na nieumówione spotkanie z baristą. *Na zazwyczaj idealnym ubraniu była plamka... Czy to żurek? Tadeusz, nie możesz się tak patrz... Nie, raczej barszczyk czerwony.* Tadeusz!

Dobrze, już przestaje. Chociaż kobieta jak ona pewnie jest przyzwyczajona do tak natarczywych spojrzeń. Chyba, że byłaby mężatką, to może... Jest mężatką? W zasadzie nie wiem. Przychodzi tu codziennie od lat, ale prócz pierwszych pięciu spotkań, kiedy podała zamówienie, nie odzywamy się do siebie.

Nic o niej nie wiem. Ani jakim była dzieckiem, ani kogo kochała, ani co śniła w nocy. Przyjaciele opowiadają sobie sny, prawda? Ja Piotra muszę ciągle słuchać.

Gdzie dziś byłaś? - spytałem w myśli. Widzę, że coś się zmieniło. Nie zachowujesz się jak zwykle.

Ale... To nie mnie będziesz się zwierzać. Nie jesteś z tych, co pijani opowiadaliby o sprawach prywatnych w barze na końcu świata. Aż skrzywiłem się na takie wyobrażenie. To byłoby nie stylowe. To nie byłabyś ty.

Z drugiej strony to musi być męczące. Gdybyś była jak inne kobiety, robiłabyś co chciała, za cenę kilku krzywych spojrzeń. Może czasem ktoś mruknie za tobą „Co za dziewucha! Za moich czasów...”, ale byłabyś zbyt nieuważna, by zwrócić na to uwagę. Młodzi za szybko żyją, nie myślą o tym, że wielu ze swoich obecnych decyzji będą się wstydzili za dziesięć lat. Jestem pewien, że ty się niczego nie wstydzisz. Niewielu ma siłę postępować jak ty. Klasa nie jest dla każdego.

W czasie moich rozważań ona zdążyła skończyć drinka. Ubrała się powoli i starannie, po czym podziękowała i wyszła bez słowa. Jak zawsze, a jednak coś inaczej. Ciekawe...

- Och, jak chciałbym być częścią jej życia! – wykrzyknąłem z frustracją do nikogo.

- Każdy chce być częścią życia kobiety jak ta – odkrzyknął mi Ryszard ze swoją nieodłączną trąbką.

- Nawet bardzo konkretnej sfery, że się tak wyrażę – Piotrek puścił do mnie oczko, siadając na ladzie. Wymieniliśmy z właścicielem zde gustowane spojrzenia.

- Piotruś – powiedziałem jak do dziecka – nie jesteś subtelny. – Otworzył usta, by się klócić, ale zamachałem gwałtownie rękami – Naprawdę. Przestań.

- Jestem niezwykle ukontentowany, że po tylu latach nareszcie wyraziłeś własne zainteresowanie – Rysiek zaklaskał prześmiewczo. Lubilem jego nieco archaiczny styl, kalany jedynie prostackimi komentarzami kolegi. – Czekaliśmy, aż zdecydujesz się nam powiedzieć.

- Co powiedzieć?

- Że ci się podoba – Piotrkowi już przeszło obrażenie i teraz patrzył na mnie znacząco. – Nasza dama odwieczna. Wodzisz za nią oczami, a dziś nareszcie jakimś cudem znalazłeś słowa, żeby to wyrazić.

- Ale ona mi się nie podoba – zmarszczyłem brwi w niezrozumieniu.

- A jakie inne uczucie zmusiło cię do krzyknięcia „Chcę być częścią jej życia”?

- A, to – uśmiechnąłem się. – To nie jest podobanie się. Naprawdę. Po prostu... Nie czuliście nigdy takiej fascynacji drugim człowiekiem? Chcielibyście wiedzieć co robi, jaki jest prywatnie, kiedy ma urodziny, dokąd chodzi, kogo zna... Wszystko!

- Nie... - zaczął ostrożnie Piotrek – ale wiem, że stalking jest karalny. Nie daj się złapać.

Prychnąłem zirytowany i spojrzałem z nadzieją na drugiego mężczyznę.

- Rysiek?

- Ja znam – uśmiechnął się czule –taki typ człowieka. Ale!– wycelował we mnie swoją trąbką dla nadania wagi własnym słowom (z miernym skutkiem) – Nie śledź jej chłopcze. Straci ona bowiem cały swój urok, gdy tylko poznasz ją bliżej i okaże się, że też jest człowiekiem.

IV

Niestety, słodkie lenistwo wczesnych godzin musiało się skończyć, ponieważ czas nieubłaganie biegł, a wraz z nocą do „Celi” przychodziły najgorsze typy. Ci zmęczeni życiem, którzy nie piją dla odprężenia, a dla zapomnienia.

Wieczorem ludzie piją z bólu, a ja muszę słuchać ich historii. Na ogół nie mam nic przeciwko, tylko że oni swoje zmartwienia topią w procentach. Ja muszę je zabierać do domu.

- Pomóc? – zapytał przechodzący Piotrek, a zaoferowanie się takiego lenia jak on uświadomiło mi, w jakim kołowrotku pracy się znalazłem.

- Tak, proszę, zajmij się tymi po lewej – machnąłem głową jednocześnie przygotowując kolejne drinki.

Niecałe trzy godziny później problem sam się rozwiązał, ponieważ tłum – choć wciąż spory – w większości stracił zdolność wymowy. Piotrek rozmawiał z pięćdziesięcioletnim panem Antonim, którego dziś zwolnili po 30 latach pracy (a odprawa nie należała do wystarczających), a do mnie przykleiło się dwóch, przy czym zdawało im się nie przeszkadzać, że mówią ani do mnie, ani do siebie wzajemnie, za to w tym samym czasie.

- *Ja się jutro zmienię!* – obiecał mi płaczkliwie pan po lewej, łapiąc za dłoń. Położyłem na nim drugą i pokiwałem głową.

- Wierzę bracie, wierzę – powiedziałem z mocą. Odrobinę mnie to bawiło.

- *Poezja i miłość czy poezja i dobro?* – pytał z kolei pan z prawej. Uznałem jego sprawę za pilniejszą, skoro dał radę uformować pijaną myśl w pytanie, więc uwolniłem się i zwróciłem do niego.

- Co takiego?

- Świat – spojrzał na mnie jakby z daleka. – *Co miało pozostać ze świata?*

- *Czytałem książkę* – zwierzył się pan z lewej. Posłałem prawemu przeproszające spojrzenie i wróciłem do poprzedniej rozmowy.

- Jaka?

- Nie pamiętam – odparł po chwili walczenia z pamięcią, które dane mi było obserwować jako karykaturalne mrużenie oczu. – Ale to nieistotne – rozlał swoje piwo, machając rękami. Ze spokojem wytarłem plamy i jak dziecku pomogłem podwinąć mokre rękawy. – Napisano tam, że można iść w dwóch kierunkach – owe kierunki zaakcentował wystawieniem przed siebie dwóch palców wskazujących. Zamachał nimi, po czym w górze zostawił tylko prawy, którym zaczął zataczać kółka. To z kolei sprawiło, że zakreśliło mu się w głowie, musiał więc przerwać na chwilę, co natychmiast wykorzystał mój drugi towarzysz.

- *Warszawy są dwie strony* – wtrącił, by zdobyć moją uwagę. – *Dobra i brzydka oraz zła i piękna*. A może na odwrót...

- *Dobrą stronę, czyli prawą, przód i górę* – przerwał, by wziąć głęboki oddech i parę razy czknać – *i zła – strona lewa, tył i dół*.

- *A może to miłosierdzie miało zostać?* – wysiłał się niestrudzenie pan po prawej.

- *Autor filozof. A nawet prorok!* – wykrzykiwał pan po lewej. – *Zmiany sam dokonam. Ale przecież nie w łóżku...*

- *Z odległości chcę Warszawę oglądać!* – ten dla towarzystwa też podniósł głos, a słysząc to drugi już nabierał powietrza do kolejnego krzyku.

- Ciszej! – przerwał im obojgu Ryszard. – Panowie wychodzą, już zamykamy.

- Jeszcze pół godziny – zaprotestowałem, raczej dla czystego sumienia niż z zapału do pracy.

- Co za różnica czy odprowadzisz ich do taksówki całkiem pijanych, czy tylko trochę? Wyprowadźcie kogo trzeba i chodźcie do mnie. Pogadamy.

V

- Ufff – stęknąłem ciężko, kiedy po paru godzinach usługiwania mogłem rozłożyć się na fotelu w kryjówce staruszka. – Wierz mi, gdyby nie ten fotel, nigdy bym się nie dał zaciągnąć do ciebie na tę lure, którą śmiesz nazywać herbata – wymamrotałem bezmyślnie.

Śmiech właściciela zmieszał się ze zszokowanym wciągnięciem powietrza Piotra.

- Nareszcie któryś coś powiedział! Myślałem, że już zawsze będziecie ją wylewać do doniczek.

- To tylko Piotrek! – zaprotestowałem. – Czy to znaczy, że dziś dostaniemy lepszą? W ramach nagrody za szczerść?

- Nie – odpowiedział stanowczo. – To, że obserwowanie waszych cierpień daje mi niemoralną wręcz satysfakcję, nie znaczy, że stać mnie na lepszą herbatę. Będziemy pić właśnie tę, bo przecież jest bardziej narzędziem niż napojem.

- To znaczy? – zainteresowałem się mimo zmęczenia.

- Żaden z nas jej nie lubi, a jednak znika, przy czym wylewa ją tylko jeden – zauważył staruszek. – Zróbmy doświadczenie. Weźcie ją w ręce... Tak jak zwykle, Tadeusz, nie wydziwiaj. Jakbyś wcale nie miał dziś swoich pięciu minut chwały i wciąż musielibyście przede mną udawać, że wam smakuje. Zachowajmy pozory.

- W takim razie nie może zabraknąć twojego źle skrywanego uśmiešku – wtrącił Piotr.

- Och, pojawi się. Mimo wszystko jesteśmy w punkcie wyjścia. Przecież zmuszam was do picia, choć przed chwilą jasno powiedzieliśmy, jak bardzo jej nie znosimy. Wciąż jestem górą – wyrócił oczami na naszą niedomyślność i kontynuował: - W każdym razie, zapomnijcie, że macie ją w rękach. Porozmawiajmy.

Zapadła niezręczna cisza, podczas której ja i Piotrek patrzyliśmy podejrzliwie na filiżanki.

- Jesteście okropni – mruknął zde gustowany Rysiek. – Piotrek, zacznij. Był dziś u ciebie ktoś interesujący? I – dodał szybko, widząc jego minę – ograniczmy definicję słowa „interesujący” do tego co... nie-wizualne, dobrze?

- Pff – prychnął obrażony. – Był jeden ksiądz...

- Koniec! – zaoponował. – *Na wzór Mickiewicza, nie rozmawiam o Bogu przy herbacie!*

- To coś, co trzymamy, nie powinno cię powstrzymać – mruknąłem. – O czym więc chcesz słuchać? Piotrek czuje się chyba ograniczony twoimi wymaganiami.

- W takim razie ty mów – zwrócił się do mnie całym ciałem, a na twarzy przyjaciela wyczytałem jednocześnie ulgę i obrazę. – Kogo spotkałeś? Albo nie, przejdźmy od razu do sedna – jakie to inspiracje na ciebie spłynęły?

- Każdy jest inspiracją – zaśmiałem się – tylko trzeba go najpierw odpowiednio ubrać w słowa.

- Jestem wzruszony – przedrzeźnił mnie przyjaciel. – Skupmy się jednak na tych, którym udało się dziś wybrać odpowiednie przebrania z garderoby. Czyj płaszcz cię poruszył? Czyj kapelusz zafascynował? Nie, na to drugie nie odpowiadaj, oboje z Piotrkim wiemy, komu w takim nakryciu głowy dobrze. A może... coś nietypowego? – spojrzał na mnie przebiegle, a ja nie dałem rady ukryć emocji. – Aha! Tak, był ktoś taki. Mów natychmiast, co to za egzotyczne sombrero!

Chciałem zebrać myśli, więc upiłem łyk...

- Masz rację – przenosiłem rozbawiony wzrok z Ryska na filiżankę.

- A czego potrzebowałeś? – dopytał dumny z własnego doświadczenia, kiedy zrozumiał, że się udało.

- Czasu – odparłem. – Chciałem zebrać myśli.

Pokiwał głową parokroć, zanim nie machnął na mnie ręką, popędzając jednakowoż opowieść.

- W zasadzie nikt konkretny... Chociaż jak zauważyłeś, było parę osób, które może zostawią ślad w moim notesie – uśmiechnąłem się przekornie. – Naszła mnie... Raczej ogólna refleksja.

- Zamieniamy się w słuch – Ryszard rozsiadł się wygodnie. – To znaczy, ja. On pewnie zaraz się pogubi. – Wywróciłem czule oczami.

- Jesteśmy trochę jak sanatorium... Albo nie, jak statek! Statek śmierci.

- Może najpierw zdradź nam treść, a tytułem zajmiemy się potem – dogryzł mi Piotrek, który swoją postawą chciał chyba zaprzeczyć wcześniejszemu komentarzowi.

- Statek albo sanatorium, jeszcze nie zdecydowałem. Dla wszystkich ludzi, którzy chcą odpocząć. Przychodzą do nas, nie po picie.

- Nie chce sprawiać ci przykrości, ale większość jednak po picie – wtrącił Rysiek.

- Cicho, burzysz mi idee *wiecznych powrotów*. – Sam nie wiem, skąd mi się wzięła ta końcówka, ale mówiłem za szybko, żeby przyjmować się tym, czy moje myśli mają sens. Nieważne. – Tu się odbywa współczesna parafraza tańca śmierci, rozumiecie? Nie chodzi o picie, tylko o doprowadzenie się do stanu, w którym mówisz prawdę. A to ona sprowadza nas do równości. Koniec końców jedyne co jest pewne, to że wszyscy jesteśmy ludźmi. Stan prawdy...

- Na sekundę przed straceniem przytomności...

- Nie! Oj, oderwicie się na chwilę i znajdźcie coś wzniosłego w przyziemności. Pewnie, że to bar i ludzie tracą u nas... to, co ludzkie właśnie. Ale gdyby był inny sposób na doprowadzenie ludzi do mówienia najskrytszych myśli, o ile świat byłby prostszy!

- Ten pan Antoni mówił mi dziś dużo o swoich szefach. Bardzo dużo... prawdziwych, szczerych myśli. Naprawdę, wyczerpał limit za siebie i trzech licealistów na najbliższy miesiąc.

- Dlaczego mówisz to z podziwem? – zaniepokoiłem się nieco. – Nieważne zresztą – gdybym zaczął poświęcać czas na zbadanie pokrętnych myśli Piotrka, oszalałbym przed sześćdziesiątką. – Rysiek, rozumiesz o czym mówię?

- Może...

- Jakbyśmy – kontynuowałem w natchnieniu – byli takimi *strąconymi aniołami. Jak mrówki!* – wykrzyknąłem dumnie po znalezieniu nareszcie właściwego porównania.

Odpowiedziała mi cisza i nierozumiejące spojrzenia przyjaciół.

- Tak – potwierdził stanowczo Piotrek, jakby ze strachu, że dyskusja o zasadności porównania ludzi do mrówek i aniołów jednocześnie może mnie jeszcze bardziej

pobudzić. – Pomówmy o czymś innym – żaden z nas nie służył pomocą, więc sam się zajął nowym tematem. – *Nie sądzicie, że ludziom żyło się lepiej, kiedy nie wiedzieliśmy, że Ziemia nie jest płaska?*

VI

Wyszedłem przed drzwi na mroźny wieczór i odetchnąłem świeżym powietrzem, wkładając ręce głęboko do kieszeni. Popatrzyłem w górę, na niebo... bez żadnych gwiazd oczywiście. No proszę, jesteśmy w mieście. Mówimy życzenia do samolotów, a nie spadających gwiazd.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Sam siebie czasem wprowadzałem w błąd, będąc jednocześnie romantykiem rozprawiającym o aniołach i przyziemnym obywatelem, znającym trudy pracy.

Byłem... po prostu Tadeuszem Różewiczem. Baristą w barze „Cela nr 20”, w której skazałem się na dożywotnie znoszenie Piotra i złośliwości Ryszarda. Żyję dla tych paru chwil, które poświęcają mi ludzie, kiedy ze mną rozmawiają i jednej chwili od Nieznajomej, kiedy ze mną nie rozmawia.

Spotykam ludzi, słucham historii i ubieram je w odpowiednie słowa. Może kiedyś będą coś warte. Jak dobrze pójdzie... Nie, to zbyt śmiałe marzenia. Ale może, przy dobrych wiatrach, kiedyś... pojawię się w jakimś podręczniku szkolnym? Chciałbym słyszeć myśli dzieci, spędzających wieczór na analizowaniu wiersza, który tak naprawdę rozumiem tylko ja. Bo tylko ja wiem dokładnie, co było moją inspiracją. W której z rozmów znalazłem właściwe wersy. Czyja historia mnie poruszyła.

Może moja dusza przeczeka chwilę w postaci wersów w szufladzie, by kiedyś wpisać się w cudze sercu? Może znajdę bratnią duszę, połączoną ze mną przez wiersze? Będziemy razem je czytać, on na świecie, a ja nad nim jako duch, w tym romantycznym sposobie... Kiedyś. Może. A na razie zejdź z ulicy Tadek, bo jest czerwone. Nie chcemy wysłać cię do zaświatów już dziś. Przyziemny romantyku.

.....